

Po scenie mogą latać tabuny czarnych kotów i nawet kominiarz nie jest potrzebny na szczęście. Ale nie daj Boże zobaczyć pawie pióra!

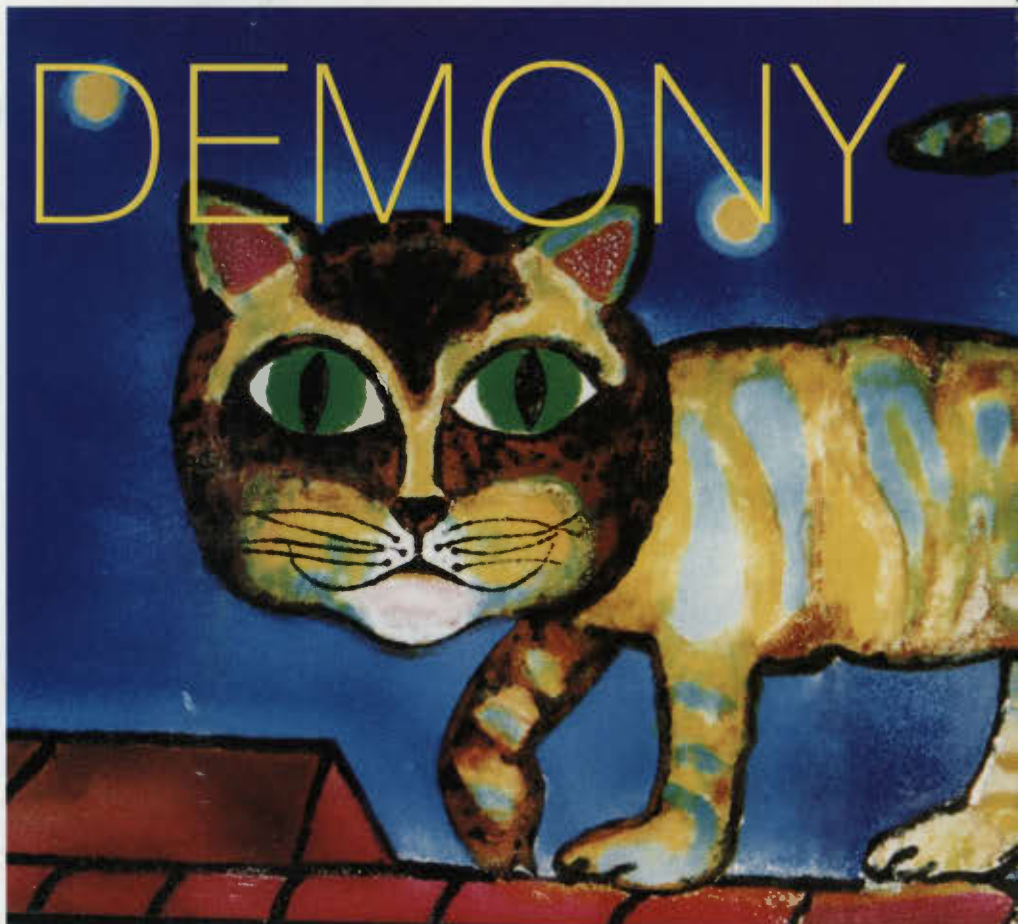
– Panie dyrektorze, niech pan każe wyrzucić te pióra, bo będzie kłapa! Nie posłuchał. Kłapa była kompletna – **Nina Andrycz**, wywołując to wspomnienie, mówi o złotych czasach stołecznego Teatru Polskiego, czyli przedwojennych. Ale historia lubi się powtarzać. **Pawie pióra** nie straciły nic ze swej fatalnej mocy i stale są postrachem w teatrach. Najświeższych dowodów dostarczyła niedawno warszawska „Roma”. Na afiszu „Orfeusz w piekle” – klasyka, gwiazdy, szpan. Na scenie postmodernistyczny przepych: scenografka **Małgorzata Treutler** chciała być operetkowym Salvatore Dali, a do tego uparła się, że nie zastąpi piór feralnego ptaka plastikowymi atrapami. No i stało się, co się miało stać. Nie tylko kłapa (zresztą zasłużona artystycznie), ale dwie zwichnięte nogi, jedno złamane żebro, chory ząb i spuchnięta szczeka solistki. Okrutny bilans w dniu premiery.

Chcecie to wierzyć, chcecie nie wierzyć, ale teatrem rządzą twarde prawa tajemnych mocy. Przesądy teatralne, od dziesięcioleci te same, zmuszają do pokory najzgorzalszych racjonalistów. Każdy prawdziwy aktor jest przesądny. Bo wie, że demony nie śpią.

WSZYSCY KOPIĄ WSZYSTKICH

Mira Zimińska, aktorka luksusowa międzywojennych salonów sztuki, kiedy już zakasała rękawy w zgrzebnym „Mazowszu”, przeniosła ze sobą do zespołu nie tylko bagaż własnej legendy, ale i wszystkie przesądy teatralne. Najpowszechniejszy: **przydeptać kartkę**, kiedy upadnie na ziemię. Każdą kartkę! Wyobraźcie sobie egzemplarz sztuki na podłodze – to znaczy, że rola „zostanie położona”, a więc nie uda się, nie wyjdzie. Może dlatego, wcale nie ze złości, ale od przydeptywania, pani Mira tak często tupiała nogą?

O roli **nogi** w teatrze można by nieskończenie. I wcale nie chodzi o najpiękniejsze, sławione przez poetów nogi **Lody Halamy**, aktorki Teatru Syrena. Chodzi o... kop-



niaki. Obowiązkowe. Im mocniejszy, tym bardziej szczerze są życzenia powodzenia. Kopią wszyscy wszystkich, niezależnie od płci. **Zofia Kucówna** w swojej bestsellerowej książce „Zapach szminki” wspomina premierę legendarnego „Wesela” u Hanuszkiewiczza w 1969 r. Nie układała się gryzka w peruce Kucówny – Panny Młodej. Fryzjerka była niepokieszona i w końcu w dniu premiery ucięła pęk własnych pięknych włosów, „związała sznurkiem, przycięła na taką długość, jaka była potrzebna, nałożyła na to koronę i kopnąwszy mnie kolanem w pośladek na szczęście, wepchnęła na scenę”.

Sama się w życiu nie nakopałam tyle co przy realizacji telewizyjnych „Wieczorów z Alicją”. Był to wielki show „na żywo” – obowiązywała sekundowa precyzja, niczego nie dało się dograć, powtórzyć: nerwy na wierzchu. Co się nakopałam sław i gwiazd, pań i panów, to moje. Może Boniek ma lepsze statystyki...

Co ma wisieć, nie utonie. A co ma upaść – już wiecie – nie ma prawa. W balecie **nie może upaść grzebień**, a jeśli już, natychmiast trzeba go przydeptać. Szczelnie upięte włosy balerini mogłyby się rozsypać w czasie tańca, budząc wesołość widzów i wściekłość partnera, niekoniecznie ciekawego obrazka jak z reklamy przeciwłupieżowego szamponu. Balet – o dziwo – chociaż jest największą bajką w teatrze, nie ma swoich własnych przesądów. Tutaj liczą się przede wszystkim **talizmany** – pamiątki po

magnetycznych gwiazdach sztuki tańca. W baletowym antykwariacie w Nowym Jorku, nieopodal najwspanialszego kombinatu sztuki Lincoln Center, jeszcze niedawno można było kupić baletki Niżyńskiego czy innych tancerzy Baletów Diaghilewa. Kosztowały majątek!

A propos Ameryki. **Małgosia Zajączkowska-Stein**, którą już od sezonu mamy w Warszawie, grała na Broadwayu w przebojowej komedii Noela Cowarda u boku Franka Langelli, w cywilu narzeczonego Whoopie Goldberg. Po premierze owacje, kwiaty, a Frank dostał urodziwy, kwitnący kaktus. Małgosia o mało nie zemdląta, po czym zrobiła piekło: w Warszawie **kaktus** znaczy jedno – nieszczęście. A Langella się śmiał. I nic się nie stało. Nadal jest jednym z największych aktorów komediowych USA i ma się dobrze. Być może przesądy działają kontynentalnie?

WRÓŻEBNE IMIONA

Wiara w to, że **imiona** są wróżebne, też nie jest bez znaczenia. Dwa przynoszą szczególne cierpienie: Heleny i Zofie będą miały ciężkie życie. Cały świat powtarza ten przesąd, przywołując los Heleny Modrzejewskiej. Owszem, dotarła do szczytów sławy, ale przez pasmo nieszczęść i upokorzeń.

Nazwisko on scenie, jak nigdzie indziej, liczy się podwójnie. Dźwięczne, nietuzinkowe, ze szczyptą elegancji, nigdy trywialne. **Apolonia Chatupiec** nie miałaby cze-

I DUCHY

nie kroki obok mego łóżka, idące do okna i z powrotem. Potem zaczynało się jak gdyby stukanie w paterę szklaną z owocami, w klosz lampki elektrycznej... Jednym słowem – cała seria dźwięków niemożliwych do wytłumaczenia. Jednego się zawsze obawiałem: żeby to „coś” mnie nie dotknęło, dlatego paliłem światło – opowiadał Piłsudski, a obecna przy tym dawna kurierka Pierwszej Brygady, pani Zofia Zawiszanka-Kernowa, dokładnie tę rozmowę zanotowała.

Również generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski ogłosił w roku 1932 bardzo interesujące wspomnienie „O seansach na froncie z Komendantem”. Jest ono dowodem na to, że nawet podczas wojny i wśród sztabowców spirytyzm był w modzie.

PRZED WIGILIĄ

Było to w grudniu 1915 roku, kiedy to część Pierwszej Brygady dowodzonej przez Komendanta Piłsudskiego walczyła na Polesiu pod Kopczami, Koszyszcami i Stowogorosem – zimowa kwatera sztabu znajdowała się w dworcu w Leśniewce. I oto pewnego mroźnego wieczoru, niedługo przed wigilią, kiedy noc za szybami izby, buzujący w piecu ogień i tonąca w półmroku izba tworzyły odpowiedni nastrój, rozmowa zeszła na spirytyzm, życie po śmierci i możliwość kontaktowania się zmarłych z żywymi.

Jak twierdził Bolesław Wieniawa-Długoszowski, wszyscy obecni mieli duże zastrzeżenia wobec zjawisk spirytystycznych, owych stukających i wirujących stolików oraz innych znanych im prymitywnych, jak uważali, eksperymentów. Niemniej dla przerwania ciągnącej się w nieskończoność dyskusji Długoszowski zaproponował zainscenizowanie seansu, a Komendant się zgodził. Wieniawa szyb-

ko postarał się o nieskomplikowane akcesoria: duży arkusz papieru z wypisanym wkoło alfabetem, mały porcelanowy spodek z naznaczoną na krawędzi jego denka wskazówką. Kiedy kilka oficerskich dłoni końcami palców spoczęło na jego krawędzi, talerzyk umieszczony w kole liter zaczął się poruszać, najpierw powoli, potem coraz prędkiej. Obecni stawiali różne pytania, na które otrzymywali odpowiedzi mniej lub bardziej sensowne. Oczywiście wszyscy nawzajem podejrzewali się o pomaganie wirującemu spodkowi w odpowiedziach.

Zabawa trwała dość długo, gdy Komendant, przypatrując się z boku eksperymentowi, przejął „sterowanie” seansem w swoje ręce i zaproponował... zaproszenie jakiegoś Rosjanina, aby porozmawiać o tym, co będzie się działo na froncie.

rała Sosnkowskiego: No, przeczytajcie wasze zapiski. Sosnkowski odczytał: Oczekujcie pierwszego dnia Bożego Narodzenia ataku, ale będzie to tylko próba, prawdziwy atak pójdzie bardziej na południe.

Oficerowie długo zastanawiali się nad tą przepowiednią. Co prawda atak w święta nie byłby żadną niespodzianką. Wiedzieli już z wojennego doświadczenia, że Rosjanie często uderzali na pozycje nieprzyjacielskie w dni świąt katolickich, kalendarzowo niezgodnych ze świętami prawosławnymi. Z kolei Polacy odpłacali im tym samym.

Choć w końcu doszli do przekonania, że w całym eksperymencie decydującą rolę odegrały znane wszystkim zdolności parapsychiczne Piłsudskiego, niemniej cały sztab oczekiwał, co się będzie działo w święta. Nadeszła Wigilia. Już od zmro-

stracja”, wobec czego śpiemy dalej. Wstawać teraz byłoby oznaką słabego charakteru”.

No i rzeczywiście, tak jak „uprzedził” z zaświatów Liniewicz, Rosjanie zrobili na tym odcinku pozorowane natarcie artyleryjskie, uderzając jednocześnie na pozycje austriackie pod Łuckiem. Atak ten skończył się niepowodzeniem. Ogień austriackich armat zmusił Rosjan do wycofania się.

„My zaś w naszej brygadowej rodzinie spędziliśmy beztrudnie święta, podejmując serdecznie naszego kochanego i dostojnego gościa, księdza biskupa Bandurskiego” – zakończył swoje opowiadanie Wieniawa.

KIEDY BĘDĘ NA WOLNOŚCI

„Przeżycia, związane z nieoczekiwanym kontaktem „z tam-

„ Wszyscy bliźni znajomi Piłsudskiego wiedzieli o niezwykłych telekinetycznych zjawiskach, jakie nieraz miały miejsce w jego obecności „

Rozbawieni sztabowcy przyjęli to z zainteresowaniem. I wówczas został „wywołany” z zaświatów do odpowiedzi generał Liniewicz, znany dowódca z wojny japońsko-rosyjskiej, któremu Komendant wypomnił, że jest odstępcą, gdyż jako Polak służył rosyjskiemu carowi, ale jednocześnie poprosił, aby odpowiedział na pytanie zadane w myślach. Ku zdumieniu obecnych talerzyk długo wędrował od litery do litery, aż zatrzymał się, a gdy Piłsudski wyciągnął dłoń nad nim, ten – jakby prądem elektrycznym rażony – zaczął wirować, potem spadł na podłogę i roztrzaskał się w drobny mak. Piłsudski nie ujawnił swego pytania, ale zwrócił się do gene-

ku pod dworek w Leśniewce zaczęli nadciągać gromadami żołnierze z życzeniami dla Komendanta i sztabu. Potem małe grono usiadło do Wigilii, którą spożyto „mimo nie opuszczającej nas nigdy wesołości w nastroju na pół podniosłym” – pisał Wieniawa. Ale zaledwie świtać zaczął poranek Bożego Narodzenia, wszystkich zbudził nie słyszany od dwóch tygodni działowy ogień. Huczały groźnie rosyjskie armaty, odszczekiwały im się zajadle austriackie polówki – wspominał Wieniawa, który do dzielącego z nim kwaterę Sulistrowskiego, powiedział: „Nie zapominaj, co powiedział generał duch, to tylko „diemon-

tej strony”, miewała także pani Aleksandra ze Szczerbińskich Piłsudska, druga żona Marszałka i matka jego dwóch córek, Jadwigi i Wandy. Opisała to zresztą w swoich niedawno wydanych w Polsce ciekawych wspomnieniach.

Jeszcze w panińskich czasach Aleksandra Szczerbińska gorliwie udzielała się w antyrosyjskiej konspiracji. Przenosiła ulotki i bibułę, przekradała się przez kordon między Królestwem a Galicją, była kurierką, pracowała w tajnej drukarni. Niedługo po rewolucji 1905 roku została aresztowana i razem z liczną grupą więźniarek poli-

dokończenie na str. 46



Tego pięknego kota, który chodzi własnymi drogami, namalowała Felicja Leńska, malarka z Tel Awiwu, autorka niecodziennych emaliowanych obrazów.

Teatrem rządzą twarde prawa tajemnych mocy

go szukać nawet na prowincji, **Pola Negri** zrobiła karierę w Hollywood. Jeszcze przed wojną rygorystycznie przestrzegano zasady, że nazwisko nie może się powtarzać, chyba że aktor to kolejna gwiazda z tej samej rodziny, klanu, dynastii artystycznej. Ale jeszcze jedna Eichlerówna? Jeszcze jeden Jaracz? Wykluczone! To dlatego wielka polska aktorka **Elżbieta Barszczewska**, kiedy grała ostatnią swoją wspaniałą rolę Pani Rolison w „Dziadach” w Teatrze Małym pod domami towarowymi „Centrum”, powiedziała: – Za moich czasów nie do pomyślenia! Chodziło oczywiście o... **Grażynę Barszczewską**, świeżo upieczoną aktorkę, która akurat wtedy triumfalnie wkraczała na sceny, do teatru i telewizji. Pojawiała się pod nazwiskiem, pod którym ją znamy do dziś.

Przesady są, żeby nie zapeszać. Trzeba je szanować i nie walczyć z nimi. Największa wróżka wśród aktorek i największa aktorka wśród wieszczek, **Józefina Pellegri**, wie o naszych losach sporo. Ale nigdy nie postawiłaby kart w sprawach teatralnych. To dwa różne światy.

UPIÓR W OPERZE

Teatr to tajemnica. Magia sceny, czyszcenie kulis, zaduch garderoby. Teatr to sztuka

emocji, niszczących i ozdowieńskich, ulotna, przez co niedościgniona w swym okrucieństwie. Zawsze ma coś z „Fausta”: – Trwaj chwilo...

Nic dziwnego, że duch tutaj „tchnie kędy choe”, co po łacinie wyklada się: spiritus flat, ubi vult. Na szczęście ten oddech jest jeszcze wyczuwalny, mimo wszelkich przeciwności rzeczywistości. Bo sztuka to nadal sacrum, tajemnica, rytuał. Nie tylko zwyczajna praca, ale natchnienie, delikatna tkanka zmysłów, swoisty kod, język doświadczenia i lęków, legenda i ten duch sztuki, co krąży, a – bywa – że przewraca się w grobie. Jeden z największych hitów XX wieku, musical „Upiór w operze” narodził się z wiary w istnienie metafizycznego nieba nad sceną. Wielu ludzi teatru ufa, że duchy sławnych, nieżyjących Kolegów krążą za kulisami co wieczór...

Duchy dobre i złe. Energia, która może przypadkiem wybuchnąć. Najstraszliwszym przekleństwem jest pożar – przeżyliśmy to w ostatnich latach kilkakrotnie: Teatr Narodowy, Polski we Wrocławiu, a w końcu tego lata opera w Bytomiu. Być może zawinily

„czynniki obiektywne”, ale ludzie teatru wiedzą lepiej: na pewno ktoś TO śpiewał. TO, czyli wielki szlagier operetkowy „**Lecą świetliki, leca, leca i jak latarnie świecą, świecą...**” Tego nie wolno zanucić nawet w myślach!

Nie wolno też wymawiać imienia Makbeta. Wróży nieszczęście, klapę, czyli nieudaną premierę i szybkie zejście sztuki z afisza. Statystycznie jest najrzadziej grana ze wszystkich arcydzieł Szekspira! Jeśli już, to mówi się: będziemy TO grać. Albo: aktor zagra TEGO. Ostatnim razem w Warszawie przejechał się na „Makbecie” wybitny skądinąd reżyser **Mariusz Treliński**, do tego we współpracy z wielkimi aktorami – **Krystyną Jandą** i **Januszem Gajosem**. Demony czuwają.

PERŁY JAK ŁZY...

Urodzone z bólu, wydobywane z narażeniem życia nie dają szczęścia kobietom, które je noszą. Tę historię, bardzo smutną i bardzo prawdziwą, opowiadała mi pewna wielka dama teatru. Jej matka, kobieta mądra i wykształcona, elegancka i wrażliwa, dostała w prezencie od męża pierścień z perłą. Przez całe życie uważała, że ta perła sprowadza na nią wiele nieszczęść. Córka pamiętała tę opowieść i przez całą

karierę sceniczną wypruwała perły, jeśli tylko pojawiały się w jej kostiumach. Po latach, już jako członek jury międzynarodowego konkursu sztuki w dalekim egzotycznym kraju, została obdarowana perlami przez organizatorów. W tym samym czasie ciężko, nieuleczalnie zachorował mąż artystki. Kolejny dowód, że perły są jak tży...

NITKA W ZĘBACH

Czego jeszcze nie wolno? **Szyć**, Broń Boże! Jeśli się rozpruje szew, odpadnie guzik – trudno, trzeba iść na scenę z dziurą. Chyba że się uda szybko ściągnąć kostium, bo szycie na figurze wykluczone! To oznacza, że „zaszyje się pamięć”, czyli zapomni tekst roli. Jest tylko jedna rada, kiedy nie ma innego wyjścia i igła idzie w ruch: artystka musi trzymać w zębach drugi koniec nitki. **Grażyna Brodzińska**, najjaśniejsza gwiazda teatru muzycznego i osoba, owszem, owszem przesadna, znana jest z tego, że potrafi całą szpulkę nici trzymać w zębach. Ta sama aktorka, łagodna jak baranek, dostaje furii, kiedy ktoś gwizdże na korytarzu. W teatrze można nucić, kłaskać, mruzczyć, tylko nie To. Wspaniały mistrz polskiego baletu **Leon Wójcikowski** strofował przyszłą primabalerinę **Marię Krzyszewską**, kiedy ta – pięknie zresztą – pogwizdywała sobie dla kurażu: – Wykluczone, jeszcze publiczność potem wygwizdże!

Święte słowa: na zimne dmuchać. **Irena Górska-Damięcka**, wspaniała pani, wybitna aktorka i reżyser wielu teatrów, „matka gwiazd” opowiada, jak w inscenizacji „Mazepy” Słowackiego starano się **unikać trumny w scenografii**. Wprawdzie tekst każe Wojewodzie rozpaczkać nad trumną, ale rozsądek podpowiada, żeby nie zapeszać. Bywało, że wystarczyć musiał sam katafalk.

Odwrotna strona medalu – nieopisane szczęście – to... **końska kupa** na scenie. Tylko tak rzadko konie grywają w teatrach. A jednak zdarzyło się – w Bydgoszczy, u **Andrzeja Marii Marczewskiego**, że na własne oczy zobaczyłam ten akt przemiany materii, radość dyrekcji i sukces premiery sztuki **Krzysztofa Daukszewicza**.

Damian Damięcki, syn pani Ireny, ojciec popularnego aktora Grzegorza, a wuj Mateusza, przypomina jeszcze jedno przykazanie teatralne: **nie wchodzić do teatru w czapce ani w kapeluszu**. To nic, że „przykrywa się rozum”. To przede wszystkim sprawa szacunku. Dla miejsca, dla sztuki w ogóle.

Aktor musi grać. Teatr musi trwać. Ze swoimi wzniosłościami i śmiesznościami. Z żartami, legendami, rytuałami. Z sentymentami i przesadami. Bo to teatr właśnie.

KRYSTYNA GUCEWICZ